N° R
84
23

R-8F1

Biblioteka
Szkoły Nar. Polskiej
w Batignolles

BIBLIOTEKA NARODOWA

MODLITWA.

KSIĄŻECZKA

DLA

STEFCIA

przez

Stanisława Jachowicza.

(Z RYCINĄ).

Biblioteka
Szkoły Nar. Polskiej
W Batignolles

WARSZAWA,
W DRUKARNI ALEXANDRA GINS,
Ulica Flektoralna Nr. 755.

1855.

BIBLIOTEKA NARODOWA
I 38.598

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa dnia 21 Maja (2 Czerwca) 1855 r.

Starszy Cenzor, Radca Dworu **J. Papłoński.**

10248 Bat.

KOCHANEMU STEFCIOWI

przywiązany Nauczyciel.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005049863

Kochaj, a będziesz dobrym.

Ja Mamę kocham, mówił Henryś. Zobaczę, odpowiedziała Matka.— Ale ja Mamę bardzo kocham i zaczął serdecznie Mamę całować. To jeszcze nie dowód, mówiła znowu Matka.

Po niejakim czasie, kiedy Henryś zapomniał o swojéj miłości zapewnianéj, przybyli goście. — Mama przypomniała sobie, że Henryś umié ładnie śpiéwać. Zaśpiéwaj no nam, Henrysiu, mówiła Matka. Henryś się zarumienił i śpiéwać niechciał.— Tak mnie-to Henryś kocha? były słowa Matki.

Henryś choć nieśmiały, zaśpiéwał jednak ślicznie i Mama powiedziała: Teraz wierzę, iż mnie Henryczek kocha.

Siérota.

Szła siérota ulicą i płakała. Czego-to płaczesz, dziecino, zapytała jakaś przechodząca pani. Niemam

płakać? odpowiedziało dziécię, ja pewnie dziś nic jeść niebędę. Niemam Ojca ani Matki — ludzie mają swoje dzieci, któż mi co da? a kiedy głód dokucza, to straszne.

Moje dziecko, odpowiedziała pani, każda roślinka potrzebuje posiłku: boby bez niego żyć niemogła.

Kto im wszystkim daje posiłek? a jednak daje; bo żyją. Ptaszki, jak z gniazdka wylecą, to już niemają ani Ojca, ani Matki, któż im jeść daje? a jednak ktoś im daje: bo żyją. Niepłacz, moje dziécię! i o tobie Pan Bóg niezapomni. Oto masz zaraz na początek trzy grosze; ale sobie nic niekupuj, czekaj, może cię Bóg czém opatrzy. I rozeszli się.

Ale dobra pani dziewczynki z oka niespuszczała. Oglądała się za nią. Patrzy, a tu dziewczynka idąca do szkoły miała w woreczku bułeczkę. Jak zobaczyła ubogie dziéciątko, wyjęła bułeczkę z woreczka, przełamała i dała siérotce połowę. Cóż, źle mówiłam? pomyślała sobie, jeszcze to nie jeden taki dar będzie; bo Bóg dał ludziom takie serce, że niemogą patrzéć bez wzruszenia na prawdziwie nieszczęśliwych.

Dziécię posłuszne.

Leżało na biórku jabłko duże, piękne, rumiane, i leżało długo, niepsuło się wcale, i wszyscy się dziwili, co to za jabłko, i wszyscy oglądali ciekawie.

I jabłko to pachniało pięknie i cudnéj piękności było, jakby z raju; bo nikt niewidział w żadnym ogrodzie takiego jabłka. Skąd się wzięło? możeście ciekawi?

Był chłopczyk mały miał buzię okrągłą i rumianą, jak jabłuszko; ale grzeczny, dobry jak Aniołek, a nadewszystko posłuszny. — Raz otwierają się drzwi i wchodzi młodzian rzadkiéj piękności z tém jabłkiem w ręku i rzecze: ludzie nieznani dowiedzieli się o Wicusiu, że jest bardzo grzeczny, posłuszny i przesyłają mu to jabłko na pamiątkę. Ta pamiątka długo potrwa; bo to jabłko się niezepsuje jak inne.

I ciągle dzieci oglądają to jabłko i zachęcają się do posłuszeństwa; bo to doprawdy piękna rzecz, kiedy dzieci posłuszne.

Zegarek.

Antoś niebył jak inne dzieci, co czasu cenić nieumieją. Antoś był pilny, Antoś na minutkę niespóźnił się do lekcyi, Antoś o minutkę lekcyi nieskrócił; Tata więc darował mu śliczne pudełeczko z napisem: Kto czasu dobrze używa, wart mieć zegarek. Antoś otworzył pudełeczko i zobaczył w niém śliczny złoty zegarek.

Broniś.

Niebudź mnie, Halko, mówił Broniś — ja sam wstanę. E! gdzie tam, rzekła Halka sama do siebie, trzeba panicza obudzić; boby spał do południa. Rano, jak już słoneczko zajrzało do okienka, budzi się Broniś. Patrzy, Halki niéma. Wstaje czymprędzéj, sam wdziewa sobie pończoszki, trzewiczki, i, nim Halka nadeszła, ubrał się Broniś.

Wchodzi Halka, Broniś już ubrany.— A kto panicza obudził? pyta wchodząca Halka.

Ha, chyba Pan Bóg, odpowiedział Broniś; bo Pan Bóg nielubi, kiedy dzieci spią długo.

Niejedno dziecko powinno brać przykład z Bronisia.

Poczciwe serce.

Wy, dzieteczki, macie zdrowe nóżki, oczki wasze dobrze widzą; ale są biédni ludzie na świecie, co czasem niemają ręki, albo nogi, czasem niewidzą.

Patrzaj, staruszek ma nogę drewnianą ledwie lezie, podpiera się kulą.

Tak mówiła Mama do Wacławka. A Wacławkowi stanęły łzy w oczach i rzekł: moja Mamo! ja mu mojéj nogi dać niemogę; ale mam ja tu w woreczku kilka groszy. Mama mi mówiła: że czasem tacy biédni niemają na kawałek chleba. Daj mu Mama te piéniądze, ja mam co jeść.

Bóg widział i czyn Wacławka i jego poczciwe serce, i pobłogosławił mu w naukach.

Pies rolnika. (*)

Pewien rolnik miał psa wielkiego do strzeżenia domu. Bryś szczekał okropnie, jak tylko kogo obcego

(*) Niech nikogo niedziwi, że tę powiastkę powtarzam. Jest ona mego pióra, umieściłem ją w tygodniku Stanisława Chruckiego ztąd przeniesiona została do elementarza wydanego przez G. Senewalda, a że ten pomysł zdaje mi się bardzo stosowny dla dzieci i pożyteczny, odświeżam go w téj książeczce.

zasłyszał. Umiał także pilnować trzodę, zaganiał baranki a nigdy żadnego nieukąsił. Ten rolnik miał dwóch małych synków. Starszy lubił Brysia i nieraz mu rzucił kawałek chleba

Młodszy przeciwnie, wielkie miał upodobanie w dokuczaniu Brysiowi. Nieraz targał go za uszy, ciągnął za ogon, a nigdy i ogryzionéj kostki mu nie rzucił.

Pies też umiał między braćmi czynić różnicę.

Młodszego unikał, a naprzeciw starszego wybiegał z radością, wywijał ogonem, łasił się, skakał w około niego, przynosił mu młode żywe ptaszki, które złowił. Gdy go widział spiącego na trawie, czuwał nad nim troskliwie. Często chłopczyk siadał na niego jak na konika, a Bryś cierpliwie go nosił na sobie.

Młodszy zazdrościł tego bratu; ale zamiast pogłaskać Brysia, jeszcze go nieraz obił.

Pewnego dnia, chciał także jak braciszek wsiąść na niego; ale Bryś pokazał mu zęby, i warczeć począł. Swawolnik uderzył go pręcikiem po uchu a pies ugryzł niedobrego chłopca boleśnie.

Chłopczyk w płacz, i daléj do Matki na skargę. Trudna rada, odpowiedziała Matka, ukąsił cię, boś

mu dokuczał; bądź dobrym dla niego, a będzie dobrym dla ciebie.

Ja tylko chciałem wsiąść na niego, wszak i brat na nim jeździ.

Brat twój, dodała Matka, niesprawia mu nigdy przykrości. Nieciągnij go za uszy, daj mu czasem chleba, a zobaczysz, jak cię polubi.

Dobrze, zobaczymy, rzekł chłopczyk, i odtychczas zaczął się łagodnie z Brysiem obchodzić. Bryś także, odmienił się dla niego: nieczynił żadnéj między braćmi różnicy.

Przybiegał równie ochotnie na odgłos jednego jak drugiego, spoczywał przy ich boku, obadwa na nim jeździć mogli, chętnie im nadstawiał swego grzbietu.

Franuś.

Franuś bawił na wsi. Wyszedł raz z Mamą w pole, gdzie wieśniacy żęli zboże. Wtedy nawijają się młode zajączki. Jeden z wieśniaków złapał więc takiego zajączka i przyniósł go Franusiowi. Ten zaczerwienił się z radości, podziękował grzecznie, i wrócił z nim do domu.

Moje dziécię! mówiła Matka, wiem, jak cię to cieszy; ale ten zajączek u ciebie zmarnieje, on w pokoju zdrowo żyć niemoże. I ty lubisz biegać po dworze, a coż dopiéro zajączek, co do pola, do czystego powietrza stworzony, puść go, a i jemu i mnie sprawisz przyjemność; bo nielubię, kiedy dzieci męczą zwiérzęta.

Franuś namyslał się chwilkę, pogłaskał zajączka i rzekł: widzisz, jaka Mama dobra! ona dobrze mówi; bo co Mama mówi, to wszystko dobre. Radbym się bawił z tobą; ale Mama każe, więc cię puszczam, biegaj sobie, zajączku, puścił go i widział, jak ochoczo uciekał zajączek i cieszył się Franuś, że Mamy usłuchał.

Z innych najlepsza nauka.

Henryś miał dobry przykład w domu. Raz był na odwiedzinach u przyjaciół Rodziców. Zastał tam trzech chłopczyków. Jeden był swawolny, nieposłuszny nikomu grzecznie nieodpowiedział.

Drugi był mazgaj, uraźliwy i lubił skłamać. Trzeci lubił zawsze na swojém postawić, wszystkiego się napiérał i wszystko psuł.

Henryś, jako gość, w niczém im się niesprzeciwiał; ale do niczego się niewtrącał

Skoro Henryś wrócił do domu, spytali się Rodzice Henrysia, jak mu się te dzieci podobały, a Henryś na to: dzieci mi się niepodobały; ale od dziśdnia ja będę lepszy: bo dopiéro widzę, jak to źle bydź niegrzecznym.

Dzwonek.

Romanek był nieposłuszny. Nigdy za piérwszém zawołaniem nieprzyszedł — trzeba mu było kilka razy o jedno mówić. Raz Mama zawołała Romanka do bawialnego pokoju. Stanął przy stoliku obok Mamy, a Mama rzekła: mój Romanku! bardzo się martwię, żeś taki nieposłuszny. Posłuszeństwo piérwsza dziecka cnota. — Jak kto dostrzeże tę wadę, powié, żeś źle wychowany.

Widzisz, kochanie, na świecie trzeba, żeby ludzie jedni drugich słuchali. Mama, wiesz, że ma służących. Mama daje im jeść, okrycie, i piéniądze, za które oni sobie kupują, co chcą; ale za to oni Mamy słuchają.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Widzisz, oni starsi od ciebie, a skoro tylko Mama którego zawoła, spieszą na wyścigi.

Tu poruszyła matka leżący na stole dzwonek, ten wydał głos i dwojgiem drzwi weszła służąca i lokaj.

Co pani rozkaże?— zapytali: Nic, odpowiedziała pani, chciałam tylko dać przykład Romankowi, jak trzeba Mamy słuchać. Wy mnie widać kochacie, kiedy tak spieszycie na moje zawołanie.

I ja Mamę kocham, rzekł zaczerwieniony Romanek. Jeżeli mnie kochasz to niedasz sobie o nic dwa razy mówić, będziesz słuchał Mamy.

Bodajto zgoda!

Było raz dwóch braciszków — a wy wiecie, co to braciszkowie: co mają tę samą Mamę i tego samego Tatę.

Ci braciszkowie kochali się bardzo. Jeden na drugiego nieskarżył, jeden drugiemu ustępował, nigdy się na siebie niegniewali. — Jak który miał co dobrego, wolał dać drugim niż sam zjeść. I tak

rośli w jednym domu, pod jednym dachem. Bawili się pięknie; bo zawsze ich widziano w zgodzie.

Raz przyjechał do nich Wujaszek z dalekich stron i przywiózł siostrzeńcom gościńca.

Waluś dostał śliczne siodełko a Karolek czapraczek.

Karolek niezazdrościł Walusiowi siodełka a Waluś Karolkowi czapraczka; złożyli się razem, ubrali w nie konika i bawili się wspólnie.

Gdyby była między nimi niezgoda, nie byłoby miłéj zabawy, a tak Wujaszek, widząc taką miłość i zgodność między siostrzeńcami, obdarzał ich coraz nowemi upominkami i widział z radością, że nigdy niedał powodu do sprzeczki.

Oj! dobrze, moje dzieci, że się zgadzacie, mówił Wujaszek. Widziałem ja nieraz niezgodę między małymi braciszkami, to téż potém i starsi niekochali się wzajemnie i niebyli szczęśliwi.

Pierwsze buty.

Mateuszek byłto chłopczyk różniący się od wielu dzieci. On o lada co niepłakał; jak co przyrzekł,

BIBLIOTEKA NARODOWA

zawsze dotrzymał. Umiał się wstrzymać od tego, co lubi.

Jak chciał wziąć sucharek, a Mama niepozwoliła, niemówił, jak inne niegrzeczne dzieci: moja Mamo! tylko ten jeden; ale zaraz odstąpił i to z dobrą minką; bo on bardzo Mamę kochał, a Mama pragnęła bydź tak kochaną. Przychodziła kolenda, dzieci miały odbierać różne dary, trzeba było coś dać Mateuszkowi. Myśli Mama, myśli i powiedziała sobie: on już nie jak dziecko postępuje; ale jak mężczyzna, sprawię mu buty. I sprawiła.

O! wy co wiecie, jak miłe są piérwsze buty dla chłopczyka, który zawsze w trzewiczkach chodził, łatwo sobie wystawicie, jak się ucieszył Mateuszek, otrzymawszy śliczne, zgrabne, czarne, świécące się buciki.

Ale nie koniec jeszcze. Wieczorem bawiły się dzieci. Jednym razem słychać odgłos: kto w butach do koła! nowa pociecha dla naszego Mateuszka. Czując się w butach jak słuszny mężczyzna, pospieszył do koła, z którego trzewiczkowych chłopczyków wyłączono. A co dobrze bydź grzecznym?

Książka z obrazkami.

Witoldek miał książkę z obrazkami. Był tam chłopczyk jadący na koniku, była gruba przekupka, co owoce przedawała, bednarz z obręczami, druciarz, co garnki drutował, był staruszek o kuli, żołnierz z pałaszem wydobytym. Witoldek często się uczył z téj książeczki; ale zswsze ją osłaniał, żeby się niewalała, zawsze ją kładł w jedno miejsce, pilnował, żeby się żadna niezawinęła kartka, żeby tam żadnéj niebyło plamki. Upłynął rok a książka była jak nowa. Darował ją potém młodszemu braciszkowi.

Jak wam się zdaje, kochane dzieci, gdyby Witoldek był książkę sponiewierał: czy miałby tę przyjemność?

Modlitwa Władzia.

Dzieci zwykle codzień mawiają pacierz; ale częstokroć same niewiedzą, co mówią. Władziowi dobrze wyjaśniono modlitwę Pańską, on téż ją odmawiając, zawsze o tém myślał, co mu objaśniono.

Ale miał on prócz tego swój własny pacierz. Ile razy smutek go jaki spotkał, szedł do skrytego kącika i mówi: Boże! pociesz Władzia, przeżegnał się i wracał spokojniejszy. Jak go co ucieszyło, biegł znowu do swojéj kryjowki, i mówił: o Boże! dziękuję Ci za tę przyjemność.

Ojciec i Matka widzieli to nieraz; ale nic niemówili, cieszyli się tylko w sercu, że im Bóg dał tak pobożne dziécię, które rozumié, co jest prawdziwa modlitwa i modli się sercem nie ustami.

Jak Mamę kocham.

Walerek miał zwyczaj mawiać zawsze: Jak Mamę kocham! a niemyślał nad tém, co mówi. Zdarzyło się raz, że nieprawdę powiedziawszy dodał: jak Mamę kocham! Zarumienił się okropnie; ale słowa cofnąć już niemożna. Mama pomiarkowała jego kłopot, niegniewała się na niego; ale dodała: widzisz, mój Walerku, jak to trzeba nad tém pomyśléć, co się mówi. Patrz, jak źle, kiedy dziécię ma takie przyzwyczajenie.

Jeżeli Walerek chce nas przekonać: że Mamę kocha, niech-że się nigdy niezaklina.

Kto prawdę zawsze mówi niema potrzeby udawania się do zaklęć, każdy mu i tak uwierzy.

Braciszek i siostrzyczka.

Był jeden chłopczyk i jedna dziewczynka, braciszek i siostrzyczka; kochali się bardzo, i, nietylko jedno drugiemu żadnéj niezrobiło przykrości; ale każde przemyśliwało, jakby drugiemu przyjemność sprawić. Sabinka zrobiła własną rączką śliczną zakładkę do książki, zawinęła w papierek, i podpisała dużemi literami: dla kochanego braciszka. Łóżeczko Henrysia już było na noc przygotowane; włożyła więc Sabinka swój dar pod poduszkę, wiedząc, że zrana Henryczek sam sobie ściele łóżeczko, z przyjemnością więc zobaczy robótkę siostrzyczki. Henryś, o niczém niewiedząc, kiedy się Sabinka spać położyła, postawił przy niéj na stoliku klatkę swojéj roboty z napisem: „Braciszek ukochanéj siostrzyczce.“ Rano się budzą oboje i spostrzegają swe dary. Łatwo sobie wystawić ich radość.

I połączyły się razem te dwa napisy jak serca były złączone. Nieprawdaż, jak to pięknie, kiedy się dzieci kochają!

Dobrze robił Gustawek, że wina niepijał.

Kilkoro dzieci siedziało przy obiedzie. Stały przed niemi kieliszki i nalewano im po trochu wina. Jeden tylko Gustawek podziękował i niedał sobie nalać wina w kieliszek. Guciu, czemu niepijesz? pytano. Dziękuję, odpowiedział uprzejmie Gucio. Wszyscy się temu dziwili, a Mama powiedziała: Mój Gucio bardzo chorował, lekarz zapytał, czy lubi wino. On wina nigdy niepija, odpowiedziałam. Tym lepiéj, dodał lekarz, silnéj skutkować będzie.

Jakoż istotnie wino pomogło i Gucio znowu niepija wina, żeby broń Boże choroby, lepiéj skutkowało.

Ja będę doktorem!

Ja będę doktorem, mówił Oleś, prawda, Mamo, jakto, dobrze będzie? Kiedy przyjdę do ubogiego

domku, kupię lekarstwo za własne pieniążki i powiem dzieciom: Nieturbujcie się, dzieteczki, wasza Mama będzie zdrowa; jak to miło będzie? Dobrze to wszystko, odpowiedziała Matka; ale kto chce bydź doktorem, to powinien się już zawczasu do tego przysposabiać, a Oleś nie zawsze jest takim, jakim bydź doktór powinien. Jakoż niezadługo Oleś zaczął się niecierpliwić. A śliczny mi doktór! powiedziała Mama. Doktór powinien bydź samą cierpliwrścią.— Po niejakim czasie wołają Olesia, a on niechce odejść od ulubionéj zabawki. — Śliczny mi doktór! powiedziała znowu Mama. Lekarza jest obowiązkiem najprzyjemniejszą zabawę porzucić, a biedz, gdzie go wołają. Raz budzi Mama Olesia, a on wstać niechce. — A! śliczny mi doktór! znowu powiedziała Mama. Lekarz niema ani dnia, ani nocy spokojnéj: kiedy go zawołają, wstaje, wstaje z ochotą; a kto się dzieckiem do tego nieprzyzwyczai, to potém niepodobna! Kiedy chcesz bydź doktorem, mój Olesiu, to wstawaj rano, ochoczo, kochaj wszystkich, odpowiadaj każdemu łagodnie, bądź cierpliwy, patrz z boleścią na cierpienia bliźnich, pragnij każdemu dać pomoc, nieprzywiązuj się do pieniędzy, a wten-

czas cieszyć się będę, ilekroć z ust twoich usłyszę: Mamo! ja będę doktorem!

Poczciwy Marcelek opiekun swojéj Matki.

Kochane dzieci! Jak przechodzicie ulicą Leszno, spotykacie nieraz małego chłopczyka w burce ciemnéj z kapturkiem wyszywanym czerwoną włóczką. Jest to ładny blondynek z siwemi oczyma, płcią delikatną, twarz trochę piegami obsypana.

Ten chłopczyna ma ubogą Matkę. Jedni państwo wzięli go na wychowanie, wychowują go z własnemi dziećmi, i nieobawiają się o ich zepsucie; bo to chłopczyk bardzo grzeczny: żadnych brzydkich słów niewymawia, niekłamie, niezaklina się, posłuszny, pilny, porządny. Dla tego że taki dobry, wszyscy go kochają i nietylko sam u tych państwa ma utrzymanie; ale za swoję chętną posługę otrzymuje nieraz nagrodę i niesie ją biédnéj Matce.

W każdym domu szacowany, każdy go za wzór wystawia. Patrz, mówią do posługującego chłopczyka, Marcelek nigdy niekłamie, Marcelek z nikim się niekłóci, Marcelek każdego uszanuje, Marcelek

ubogich nieodprawia odedrzwi z niczém. A delikatny! o nic nieprosi, a najmniejsze dobrodziejstwo odbiera z wdzięcznością. Matka ma prawdziwą pomoc z Marcelka; bo on dobrém sprawowaniem nie jedno wyjednał jéj wsparcie od swoich opiekunów, a byłożby to, gdyby Marcelek miał wady zwyczajne dziećiom jego wieku i gdyby nie pozyskał serc dobrocią, uprzejmością?—

Teodorek.

Dzieci zwykle mają dobre serca; ubogi miłym dla nich gościem; bo słyszą od Rodziców, Kapłanów i Nauczycieli: że Chrystus w postaci ubogiego wchodzi w ich progi. Teodorek był w tym względzie wyjątkiem, a ponieważ umiał rachować; wyrachował, że, gdyby codzień dał ubogiemu grosz, toby się na miesiąc uzbierała złotówka: cóż dopiéro, kiedy na dzień kilku przyjdzie ubogich, cóż dopiéro: gdy w piątek narachował aż dwudziestu żebraków. Moje dziécię, mówiła Matka, nierachuj tak troskliwie ubogich i co na nich wydasz; ale pamiętaj o tém, że Bóg i tobie, i twoim Rodzicom daje dla ubogich.

Ja inaczéj rachuję. Wujaszek wczoraj odjechał, dał ci odjeżdżając rubelka, wieleż z niego masz dziś?— Jeszcze dwadzieścia groszy, odpowiedział Teodorek. — Więc na dzień wydałeś sześć złotych, a co téż pożytecznego kupiłeś? Widzisz, gdybyś tak dużo codzień wydawał, wieleżbyś téż złotych zmarnował? Tak rachuj; ale nie, co dasz ubogim.

Bóg cudem swoim hojnie nas obdarza, a nierachuje nam w gębę chleba.

Kiedy was, dzieci, skąpstwo ogarnie, przypominajcie sobie, co wam Bóg daje, a niebędziecie skąpemi.

Gdzie wartość prawdziwa.

Patrz, jak moja piłeczka śliczna, a twoja szkaradna, mówił bogaty panicz do ubogiego chłopczyny. Uderzmy obadwa każdy swoją o ziemię, rzekł uboższy, a zobaczymy, która wyżéj podskoczy. I uderzyli, a piłka ubogiego pacholęcia daleko wyżéj skoczyła.— Zamieniaj się ze mną, powiedział panicz.

Jakto? zapytał obecny Nauczyciel tak piękną piłkę za tak szkaradną chcesz mieniać? musi więc mieć

więcéj wartości. Tak się w świecie dzieje: nie tego, co piękniejszy, bardziéj lubią; ale tego, co wypełnia swe powinności.

Ma kto takie zwijadełka?

Raz przywieziono pani Zarzyckiéj zgrabne z Warszawy zwijadełka. Wszyscy się zbiegli, oglądali, była-to rzecz nowa w téj okolicy; bo nikt tu jeszcze niemiał tak eleganckich zwijadełek. Wszyscy chwalili; jedna tylko pani Zarzycka, bardzo obojętnie je przyjęła. Mam ja, rzecze, lepsze zwijadełka! — Wszyscy spojrzeli się po sobie; bo nic podobnego u pani Zarzyckiéj niewidzieli. Panno Urszulo! przynieśże mi moje zwijadełka. Panna Urszula, która była nieodstępną towarzyszką pani, domyśliła się: o co tu idzie, pobiegła i wkrótce niesie na ręku ślicznego rumianego jak jabłuszko chłopczyka, stawia go przed panią. Pani bierze motek nici, wdziewa go na rączki miłéj dzieciny, która z największą chęcią, oddaje się téj posłudze. Trzyma prosto, uważa cierpliwie, od czasu do czasu przechyla rączki, a Mama wpa-

trując się w tę poczciwą twarzyczkę, zwija nici i mówi: a co? ma kto takie zwijadełka?

Obwarzanki Mieleckie.

Każde miasto ma coś swego, i tak Mielec miasteczko w Galicyi ma wyborne obwarzanki. Są to obwarzaneczki drobne, kształt taki miewają i w innych miasteczkach; ale smaku takiego, kruchości, jasności mąki, żadne takich niemają. Dla tego też słyną w Galicyi. Żaden Ojciec nieprzyjedzie z Mielca, żeby dzieciom takich nie przywiózł obwarzaneczków. Pamiętam, raz przywiozła nam Matka takich obwarzanków. Zasiadło nas sześcioro przy miseczkach z wyborném mlékiem i wkruszyliśmy sobie obwarzanki. Wtém zabrzmiało: gore! I znaczna część miasteczka Dzikowa za kościołem stanęła w płomieniach. W krótkiéj chwili kilkanaście rodzin zostało bez dachu i bez chleba. Okoliczni sąsiedzi porozbierali do siebie pogorzelców, i nam dostało się sześcioro biédnych dzieci. Już wszystkie siedziały przy sześciu miseczkach mléka z nadrobionemi obwarzankami, od któregośmy od-

stąpili, i zajadały smacznie. — Od tego czasu niemało jadłem dobrych rzeczy, a o niczém tak niepamiętam, jak o owych obwarzaneczkach mieleckich, dowód, że czyn dobry: milsze wspomnienie zostawia niż najlepszy przysmaczek.

Mały rysownik.

Kornelek lubił sobie rysować z głowy. To żyda z długą brodą z wyłupiastemi oczyma, to przekupkę grubą i nadętą, to żołnierza z okropnemi wąsami, to furmana, co ma konie jak szczury, to druciarza z kapeluszem podobniejszego do grzyba niż do człowieka, to turka w szarawarach; a Mama zawsze mówiła: lepiéj wyrysuj sobie kałamarz, a do czego podobny, lepiéj narysuj cztéry linije a proste, a dobrze się schodzące, niż takie bohomazy, co tylko papier niszczą a do niczego nieprowadzą. Kornelek nigdy niesłuchał Mamy; zawsze jedném uchem weszło, drugiém wyszło i dziecko żadnéj nieodnosiło korzyści. Raz wchodzi sam w siebie Kornelek:

Mama musi dobrze mówić: rzekł sobie cicho; bo Mama mnie kocha. Prawda, że wszystko, co wyry-

suję, warto w piec wrzucić, żeby oczy ludzkie tego niewidziały. Takie zastanowienie czasem samo dzieciom przychodzi i jestto szczęśliwa chwila. Trzeba z takich chwil korzystać. Jestto przebudzenie się ze snu, jestto usłyszenie woli bożéj.

Kornelek przypomina sobie, co tyle razy słyszał od Mamy, wszystko razem przesuwa mu się przez pamięć. Widzi jak na jawie świętą prawdę. Ha, myśli sobie, niedobrze źle czynić; ale przecież lepiéj poznać winę swoję, jak trwać w złem zawsze. I wyjął piękny zeszyt od Wuja ze stolika i dobył wzory, które mu raz Mama dała na imieniny, i z wielką uwagą, powoli, ostróżnie, lękając się najmniejszego splamienia, zaczął rysować figurki foremnie; ale ilekroć zbliżyła się Mama do stolika starannie ukrywał swą pracę.— Czegoż się lęka Kornelek? Nielękał się bazgrać bez myśli, nieporządnie, a lęka się ucieszyć Mamę? Co to się znaczy?— Kornelek nietylko się poprawił; ale chciał Mamę niespodzianie ucieszyć, długo się tak ukrywał. Nareszcie nadeszły urodziny Mamy. Na urodziny nikt nic nieprzygotowywał jak na dzień imienin. Jeden tylko Kornelek przygotowywał niespodziankę. Wstał raniuteczko, ubrał się

pięknie, wyjął zeszyt z rysunkami, których już miał dosyć, poszedł do Mamy pokoju, położył na stoliku i napisał: dziś Mamy urodziny i ja się odrodziłem; bo usłuchałem Mamy: już niebędę rysował bohomazów; ale rzeczy pożyteczne, i jak będę mógł najlepiéj.

Grosz zgubiony.

Ubogi nieceni lekce piéniędzy; bo wié, jak je trudno zarobić. Antoś zgubił grosz. Grosz? to rzecz mała — inne dzieci i nieschylą się po niego, zatoczy się gdzie wkąt i leży sobie spokojnie, póki go kto nie znajdzie. Znajdzie poczciwy, odda; ale ta zguba znaleziona niebardzo ucieszy; bo grosz zawsze jest tylko groszem. Nie tak postąpił nasz Antoś: jak mu grosz wypadł z sakiewki, zajął się zaraz szukaniem i póty szukał, póki nie znalazł

Babunia dawała mu trzy grosze, żeby się już nie turbował i nie trudził zbytecznie; ale on na to: nie, Babuniu, ja muszę znaleźć koniecznie, wszakżeś sama mówiła:

Złoto się samo strzeże, grosz cenić należy,
Czerwony złoty siedzi; ale szeląg bieży.

Szelągi jeszcze mniejsze niż grosze. I Antoś miał piéniążki dla ubogich; bo je ochraniał; miał na pierniki dla rodzeństwa, na kupienie sobie rzeczy potrzebnych. Grosz zgubiony a potém znaleziony wielką mu sprawiał przyjemność; bo go uważał tak, jakby był na nowo zarobiony.

Dzieci ochraniajcie piéniądze jeżeli kochacie Rodziców; bo Rodzice zwykle ciężko na grosz pracować muszą.

Pielgrzym.

W szerokim kapeluszu, szarym płaszczu, szedł starzec koło domku Rodziców Łukaszka, opierając się na wysokiéj lasce. Cóż-to za człowiek? ja się go boję, rzecze chłopczyna. Niebój się, odpowié Matka, wędrownik z dalekich powraca krajów. Właśnie drzwi otworzył nieznajomy. Władzio cofnął się do kącika; bo zaniedbana postać wędrowca strwożyła go nieco. Ach! pomyślał sobie, jakże on brzydki, któżby go mógł kochać! Rodzice Łukaszka mile gościa przyjęli, uczęstowali i zaprosili na nocleg. Starzec, widząc uprzejmość gospodarzy, rozmawiał

z nimi i wiele ciekawych opowiadał wypadków.— Władzio zwolna przysuwał się do niego, staruszek umiał go ująć, pięknych mu rozrywek nastręczył, nauczył go robić i puszczać strzały, darował mu piękne obrazki, wiele mu przy nich napowiadał rzeczy. Aż tu nasz Władzio już się nieboi długiéj brody pielgrzyma, już mu się jego twarz zmarszczona śliczną wydaje, jużby go na chwilę nie chciał opuścić.

Ale niepodobna, starzec w dalszą musiał się puścić drogę, pozostawił jednak chłopczynie to przekonanie: że nie powierzchowna postać, lecz przymioty serca: rozum, nauka, czynią człowieka miłym i jednają mu prawdziwy szacunek i przywiązanie.

Pastuszek.

Słońce ślicznie świéciło, zieleniła się łączka a owieczki rozproszone trawkę skubały.— Pastuszek zrobił sobie fujarkę z wierzbiny i przygrywał owieczkom. Skoro zawołał na owieczki, skupiły się razem ku niemu i słuchały go, jakby miał im co powiedzieć. Ale on im nic niepowiedział, tylko po-

rachował, czy są wszystkie i zagrał im na fujarce. Klasnął w ręce i rozbiegły się owieczki, i znowu trawkę skubały. I przyszedł do niego drugi pastuszek i pytał się, jak on to robi, że go tak owieczki słuchają i rozumieją.— Bo mnie kochają, odpowiedział, bo wiedzą, że ja im nic przykrego niezrobię. Matula i Tatulo przestrzegają mnie, żebym i zwierzątkom żadnéj nie czynił przykrości; bo zwierzęta mówić nieumieją. Ony biédne, nieupomną się, nieposkarżą, nikt się nad niemi nieużali: a Pan Bóg widzi, kiedy kto dla zwierząt dobry i takiego kocha.

Ten pastuszek był potém gospodarzem, owieczki mu się mnożyły, on lubił owieczki i owieczki jego kochały. Z ich mléka robił séry, co jak baryłki wyglądają. Ostrzygał z nich wełnę i także przedawał i uzbierał dużo piéniędzy. Żył wygodnie, uboższym pomagał, młodym nowożeńcom niejednę owieczkę na gospodarstwo darował; ale zawsze powtarzał: chcecie, żeby się wam trzodka mnożyła, obchodźcie się łagodnie z owieczkami, pamiętajcie: że to stworzenia boskie.

Tomek.

Tomek był-to chłopczyk wiejski, miał ubogich Rodziców, nieumiał czytać ani pisać; ale Tomek miał serce poczciwe: słuchał chętnie, kiedy o czém dobrém mówiono a unikał towarzystwa zepsutych. Ojciec i Matka mówili mu nieraz: roślinka opuszczona, to siérotka. Nierozumiał tego; ale niepsuł drzewek jak inne dzieci wiejskie, nieraz dźwignął upadającą roślinkę: sam o tém niewiedział, że dobrze czynił.

Raz był właśnie tém zajęty, kiedy do niego dzieci pańskie przybiegły. Co robisz? Tomku, zapytały. Co robię? ratuję biédną roślinkę, coby już była na nic i cieszy mnie, że ona znowu będzie zielona, śliczna. Roztrzepane dzieci nic na to niepowiedziały; ale przybiegłszy do domu, mówiły, o Tomku, czém się zajmował. Ojciec tych dzieci wziął więc Tomka do dworu, przeznaczył do ogrodu i rzekł: dobry-to będzie ogrodnik, kiedy tak kocha roślinki. I tak się stało: Tomek wyszedł na doskonałego ogrodnika zamożnego i szczęśliwego człowieka, a co mu drogę utorowało do szczęścia? oto dźwignienie roślinki.

Ks. Kanonik Juszyński.

Ks. Kanonik Juszyński, Autor Dykcyonarza Poetów Polskich, był uprzejmy, wesoły i kochał dzieci. Wdawał się z niémi w rozmaite rozmówki i dzieci o tém wiedziały, kochały go téż serdecznie, i były do niego śmiałe. Raz mały Staś przychodzi do niego i rzecze: Księże Kanoniku! takiś mądry, piszesz książki, powiédz mi: kiedy się lepiéj modlić, czy przed śniadaniem, czy po śniadaniu?

Moje dziécię, powiedział pobożny kapłan, mnie się zdaje: że przed śniadaniem; bośmy wszystko, a zatém i dzień od Boga zaczynać powinni. A ja, powiedział chłopczyk przepraszam Księdza Kanonika; ale mnie się zdaje: że po śniadaniu; bo kto się modli przed śniadaniem, to przy pacierzu o śniadaniu myśli.—

Toś ty mądrzejszy odemnie, mój chłopczyku, odrzekł z uśmiéchem Kanonik, módl się więc jak chcesz, i przed śniadaniem i po śniadaniu; ale módl się pobożnie i przy pacierzu niemyśl o niczém tylko o Bogu.

Skorupka od orzecha.

Michałek trzymał w ręku skorupkę od orzecha. Porzuć to, mówił Ludwiś. Ale, mój Ludwisiu, kiedy ja się bawię skorupką; bo taka piękna!

Ludwiś. O! śliczne rzeczy skorupka od orzecha! Takich pięknych rzeczy dużo na śmieciach. Michałek niezważał na to gadanie; ale pobiegł ze skorupką do Ojca i rzekł: mój Tato? kto-to taką skorupkę zrobił?— O dziécię moje kochane! nikt z ludzi takiéj skorupki niezrobi. Bóg z orzeszka wyprowadził drzewo, na tém drzewku rośnie wiele orzeszków w skorupkach. Te skorupki są jakby ich sukienki. Człowiek rozłupie orzeszek, zjé jąderko, a skorupkę rzuci na ziemię i niezastanowi się czasem nad nią.

Słyszał to Ludwiś, co się śmiał z Michałka; ale Michałek niemówił Ludwisiowi: „a widzisz!“ tylko podniósł oczy do nieba i rzekł: Jakże Bóg wielki!

Podpłomyki.

Henryś niebył zawsze grzeczny dla ubogich wieśniaków Ojciec często mu mawiał: uszanuj praco-

witego rolnika, on dla nas na chléb pracuje: ale Henryś niewidział téj ciężkiéj pracy, niemyślał nad tém, że nie z ubrania trzeba sądzić o ludziach. Raz wyszedł z Nauczycielem na przechadzkę. Szli długo przez las, potém przez pole, przez góry, doliny, parowy. I utrudził się Henryś podróżą i jeść mu się zachciało. Moje dziécię, rzekł Nauczyciel, tu wieś, tu nie miasto, niełatwo czego dostaniemy. Ja mam przy sobie piéniądze, rzekł Henryś. To nic niepomoże, odpowiedział Nauczyciel. Przy piéniądzach mógłbyś tu z głodu umrzéć; jeżeli nieznajdziemy dobrych i zamożnych ludzi; ale spróbujmy. I wstąpili do niskiéj ale porządnéj chatki. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! wyrzekł Nauczyciel. Na wieki wieków Amen, odpowiedziała kobiéta w podeszłym wieku. — Moja kobiécino! czy nie macie nas czém posilić; bośmy głodni.— Właśnie piecze się chléb. Może panowie pozwolą, zrobię na prędce podpłomyków. Henryś tego niezrozumiał, bo on niejadł jeszcze nigdy takiéj potrawy. Nauczyciel ucieszył się z obietnicy, a stara Szymonowa zajęła się podpłomykami. U niéj wypiekał się tylko chléb razowy; ale miała trochę pytlowéj mąki w do-

mu, zrobiła więc paniczowi trzy placuszki, poprzekładała je świeżém masłem i przyniosła na misce do izby. Henryś zobaczył jakieś blade, niepozorne placki; ale że mu się jeść bardzo chciało, wziął się więc do nich; aliści nadspodziewanie, zasmakowały mu bardzo, tym bardziéj: że masło było świéże i ziołami pachnęło.— Ale to wyśmienite, rzekł do Nauczyciela.— Tak, to jest wyborny wiejski przysmaczek, patrzaj jacy-to dobrzy ludzie co nas tak smaczną rzeczą częstują. Nagrodzono hojnie ubogiéj kobiécie, a powracając do domu, rozmawiał długo Nauczyciel o ciężkiéj pracy rolnika, o użyteczności jego, o jego dobrém sercu i życzliwości dla dobrych panów, a Henryś odtąd inném okiem patrzył na wieśniaków.

Chłopczyk, co lubił wszystkich poprawiać.

Jak tylko co opowiadano, zaraz Wiktorek wmięsza swoje trzy grosze. Dziś rano, mówiła Mama do przybyłéj Cioci, był u nas lekarz o godzinie 8éj. Nie Ciociu, już dziesięć minut na 9tą, wtrącił Wiktorek.

Ciocia i nieuważała na to; ale w około dzieci się śmiały. Mama pokazała Cioci nowo kupioną materyją.—Po czemu?—spytała Ciocia.—Po sześć złotych łokieć.—I groszy trzy, przerwał Wiktorek —Jakiż on skrupulatny, dodała Ciocia. Musi on tak i z czasem skrupulatnie postępować i nietrwonić jednéj chwilki napróżno.— Nie, kochana Siostro, z żalem ci powiedzieć muszę, że to tylko brzydkie gadulstwo. W dopełnieniu obowiązków niema skrupulatności, on godziny traci napróżno, nietroszczy się o minuty!— A tak Ciocia przez niepotrzebne paplotanie Wiktorka, dowiedziała się o nowéj wadzie, o któréj-by do dziśdnia może niewiedziała, gdyby nie ten szkaradny zwyczaj poprawiania każdego.

Chłopczyk, który nielubił czytać.

Zdzisławek miał lat ośm, a jeszcze nieumiał czytać. Jak go Mama do czytania wołała, to on na to: zaraz, zaraz, Mamo! i wymknął się zręcznie. Długo tak bywało, pora najśliczniejsza minęła i Zdzisławek bąkał przy czytaniu. Widział to Ks. Proboszcz, który

przychodził do Rodziców na obiad. Źle, Zdzisławku, mówił do niego — jużby się powinno umieć czytać; ale ja wiém, dlaczego nieumiész. Tyś się nigdy nad czytaniem niezastanawiał, ty niewiész, co to-za cudowna nauka, ty niewiész, jak wielu pięknych rzeczy przez czytanie dowiedzieć się można.

Ks. Proboszcz zajął się Zdzisławkiem. Nauczył go czytać po swojemu, starał się, żeby Zdzisławek rozumiał wszystko, co czyta, i w krótkim czasie postąpił znacznie w téj nauce i nikt nie mówił: Taki duży chłopiec, a czytać nieumié!

Zwierciadło Zygmusia.

Zygmuś miał osobliwsze zwierciadło. Jeżeli dziś co zrobił, jutro wyczytał tę winę w swojém zwierciadełku. Pokazała ona mu się albo w jego oku albo na czole; strzegł się więc podobnego uchybienia i codzień stawał się lepszym. Ponieważ był dobrym i grzecznym, na twarzy nieodbijały się żadne złe skłonności, a rysy nabiérały coraz więcéj powabu. Wszyscy kochali chłopczynę już z saméj po-

wierzchowności. Cóż-to za zwieciadełko takie osobliwe?—Jestto delikatne sumienie. Każdy mieć może takie zwierciadełko. Czyja dusza jeszcze czysta, jeszcze złą chęcią niezeszpecona, ten, i w zdroju na łące zobaczy plamkę na swojéj twarzy.

Dzieci! korzystajcie z takich zwierciadełek, jeżeli pragniecie bydź szczęśliwe.

Chata na ustroniu.

Oleś wyszedł z Ojcem na przechadzkę. Szli z początku bitą drogą wysadzoną równo drzewami, po boku leżały kupy połupanych kamieni porządnie ułożone, a między kupą a kupą duży kamień z liczbą mierzący drogę: daléj słupy z napisami. Wszystko to chłopczynę zajmowało, o wszystko się pytał: dla czego? — Potém udali się wąziutką ścieżką na lewo, co się kręciła jak wstążka. Tu schylali głowę pod gałęziami drzewka, to przeskakiwali przez rowek, to się drapali na wzgórek, znowu z niego schodzili, to po kamykach przechodzili przez strumyk i doszli do niskiéj chatki. Tu zastali Matkę z czworgiem dzieci: trzech chłopczyków i jednę

dziewczynkę. Matka przędła, dziewczynka szyła, a chłopczyki patyczki strugali. Widzisz, synu! rzekł Ojciec, niepróżnują, choć małe, zawczasu przyzwyczajają się do pracy. Dzieci były ubogo odziane; ale czysto pomyte, włoski ślicznie uczesane, paznokcie obcięte. Widzisz, Olesiu, rzekł znowu Ojciec, czy uważasz, jak schludnie około dzieci.— O co się tych dziatek Ojciec zapytał, na wszystko mu grzecznie odpowiadały. Kazał im się przeżegnać, zmówić pacierz, ślicznie zmówiły bez żadnych niepotrzebnych dodatków i przekręcań. Otóż widzisz, moje dziécię, mówił Ojciec do Olesia, nietrzeba koniecznie bydź bogatym, żeby dobrze dzieci wychowywać, dosyć miéć poczciwe serce i bojaźń bożą.

Gliniana skarbonka.

Ja mam skarbonkę glinianą z wąziutkim otworem mówił Ludwiś—będę w nią rzucał grosze, powoli nazbiéra się dużo piéniędzy—a piéniądze, rzecz bardzo potrzebna, mówi Mama — piéniędzy marnować nietrzeba. Prawda, odpowiedział Waluś, ale Mama także mówiła, że piéniędzy dobrze używać

należy. Czy ty masz także glinianą skarbonkę, gdzie rzucasz grosze, zapytał Ludwiś.

Waluś. Ja mam skarbonkę w niebie, u Boga.

Ludwiś. Jakto w niebie? u Boga?

Waluś. Jak co dostanę piéniędzy, to sobie niekupuję ani pierniczków, ani orzeszków; ale dam zaraz biédnéj babce lub ciemnemu dziadkowi.

Ludwiś. To ty nigdy nic niezbierzesz?

Waluś. O! zbiéra się tam wszystko u Boga, w niebie, powiedział Waluś; bo Tata i Mama mówili: co dasz ubogim, niezginie. I tam moja skarbonka.

Teofil Janikowski.

Teofil Janikowski jeszcze w dziecinnym wieku dostał obrazek od Księdza Chryzostoma. Był-to Śty Wincenty a Paulo, znany z swego poświęcenia się dla siérot i dzieci opuszczonych. Ten Święty miał jednę dziecinę na ręku, a drugą napółnagą otulał starannie i prowadził do klasztoru, gdzie Siostra miłosierdzia już na niego we drzwiach czekała. Śliczny to był obrazek, niezmiernie zajął naszego małego Teofilka.—Mój Boże! mówił, żebymto ja mógł tak ra-

tować siéroty! I myśl ta święta padła na serce jego, jak ziarno zboża na dobrą ziemię. I wzrastała powoli, i Teofilek był pobożny, pilny, i wyrosł na chwałę bożą. Niebył-ci on Kapłanem, ale zacnym zamożnym kupcem warszawskim. Z woli Bożéj, przy pomocy podobnych Jemu sercem, założył piérwszy przytułek dla biédnych dzieci i ś. p. Wilhelm Malcz nazwał go ochroną, a ów obrazek dostał się do rąk jego przyjaciela i do dziśdnia ze czcią się przechowuje.

Ks. Wincenty Głoskowski, Kanonik Sandomiérski.

W dziecinnym już wieku Wicuś okazywał pobożność i skłonność ku dobremu. Lubił on zajmować się czytaniem żywotów Świętych a ich cnoty zwolna sobie przyswajał. Niewinność Śgo Stanisława Kostki, skromność Śgo Alojzego Gonzagi głębokie na sercu jego czyniły wrażenie. W dojrzalszym wieku, poświęcił się stanowi duchownemu, i wytrwał w nim w życiu świętobliwém. Koleją czasu został Kanoni-

kiem Sandomiérskim; ale nigdy chęć posiadania wysokich dostojeństw, serca jego niezajęła.

„Sługą jestem bożym i dosyć mi na tém, odpowiedział, kiedy mu o infule biskupiéj mówiono, zbawienie dusz mnie powierzonych, to celem życia mego. Opiekować się siérotami, czuwać nad losem wdów, było jego najmilszém zatrudnieniem. Do patrona swojego szczególniejsze miał nabożeństwo. Żył cicho w swojéj celce, suknią różnił się tylko od ubogiego zakonnika, a przy końcu życia najlepiéj przekonał, że niepragnął ziemskich dostojności. Niejeden kapłan po trudach całego życia pragnie infuły, jako mu należnéj nagrody, pragnie przynajmniéj umrzéć jako Biskup.

Wincenty Głoskowski jak żył skromnie, tak pragnął umiérać. Kiedy go mianowano Biskupem za zasługi położone w kościele, rzekł: nigdy niepragnąłem wysokich dostojności—tym bardziéj teraz, kiedy jestem bliższy sądu Pańskiego. Ciężki-to obowiązek niewydołałyby mu barki pochylonego wiekiem starca. Żyłem nieznany i umrę nieznany. Chwała Panu: że są godniejsi odemnie. Pozwólcie mi umrzéć spokojnie.—Zawsze były i są serca ciche i żyjące w Bo-

gu. Oby młodzież nasza z nich przykład brała i szukała szczęścia i chwały w pełnieniu wiernem obowiązków.

Pani Olszewska i Anioł opiekuńczy.

Powiadają, że pani Olszewska, dziś bardzo biédna staruszka, wykołysała się w srebrnéj kolébce. Dzieci bogatych Rodziców, niech niemyślą że nigdy niebędą ubogiemi. W ręku Boga bogactwo i ubóstwo. Niech grzecznie obchodzą się z ubogiemi, niech ich ratują, czém mogą. Niech wiedzą, że czasem grosz im dany ochrania ich od głodu. Gdyby dziécię raz było świadkiém radości, jaką sprawił mały datek w chatce ubogiego, nierazby sobie odjęło od cukierka, od ciasteczka, a niosłoby ciemnemu kaléce, ubogiéj wdowie.

Ta tedy pani Olszewska, o któréj wspomniałem, miała bogatych Rodziców. Chodziła w pięknych sukienkach i jadała cukierki całemi paczkami. Miała lalki sprowadzane z samego Paryża, a łóżeczko jéj lalki kilka dukatów kosztowało. Ktoby się mógł spodziéwać, że ta sama kobiéta za kilkadziesiąt lat będzie mieszkała pod stryszkiem przy ulicy Siennéj,

i niebędzie czasem miała suchego chleba na posiłek. A jednak tak się stało, a pani Olszewska całe dalsze życie była zacną niewiastą, żyła poczciwie, niemiała żadnego nałogu; ale Panu Bogu podobało się nawiedzić ją ubóstwem. Ona też pobożna znosi to ubóstwo cierpliwie, zawsze wesoła, nigdy nienarzeka, każdemu się chętnie przysłuży, wdzięczna tym, którzy jéj co dobrego uczynili. Ta uboga kobiéta miała straszne chwile, dwa razy już na cholerę umiérała. Pan Bóg ją jednak ocalił, żeby cierpiała i cierpieniem zasłużyła sobie na niebo. Ale też poczciwa Olszewska miała swoje szczęśliwe chwile. Opowiém wam jednę: kiedy już nędza doszła do najwyższego stopnia, kiedy już niebyło okruszyny chleba pod dachem, kiedy niemiała u kogo pożyczyć, kiedy myślała, że umrze z głodu; wtém otwiérają się drzwi i wchodzi Anioł Opiekuńczy, dziewica pełna wdzięku, którą istotnie możnaby wziąć za anioła, taka dobroć w jéj oku jaśniała. Przynosi małe wsparcie piéniężne, śliczną białą koszulę, kawałek cukru, i paczkę herbaty. Mało było piéniędzy dla człowieka potrzebującego; ale dla ostatniéj nędzy to skarb, to błogosławieństwo boże. Gdyby które z dzieci

widziało tę scenę, kiedy biédna kobiéta rzuciła się do nóg swojéj opiekunce i pozdrowiła ją jako prawdziwego anioła; pozazdrościłoby pannie Józefie dobrze znanéj z podobnych czynów i ostatni grosz poniosłoby na ulicę.

Dzieci! czytajcie to z uwagą, bierzcie do serca i nieuważajcie tego, jako wymysł autora; to wam sumiennie ręczyć mogę, że znam i biédną Olszewskę, i samą pannę Józefę, którą Olszewska uważała za Anioła opiekuńczego.

Przysługa.

Przy gościńcu był mały domek, w nim mieszkali poczciwi wieśniacy. Niemieli dużo piéniędzy; ale mieli krówkę, parę koników i dosyć drobiu na podwórzu. — Mieli ładny ogródek i pole zasiane zbożem. Bóg dał im dwoje drobnych dzieci; bo komu Bóg nieda majątku, to mu czém inném nagrodzi. Waluś i Anusia byli prawdziwą pociechą Mamy i Taty. — Ledwie oczy otworzyli, klękli, złożyli rączki i odmówili poranne modlitwy, dzień cały pomagali w pracy Rodzicom, a wieczorem usiedli przy

kominku i słuchali pożytecznych rozmów. Właśnie sobie siedzieli; wtém wchodzi jakiś nieznajomy.— Dobry gospadarzu, rzekł do nich uprzejmie podróżny— w bliskości waszéj chatki spotkał nas przypadek — koło nam się złamało— czybyście nam nie poradzili. Czemu nie, odpowié gospodarz — poszedł czymprędzéj, przyrządził wszystko należycie.

Bogaci państwo chcieli hojnie nagrodzić uczynność: ale poczciwy wieśniak żadnéj nieprzyjął nagrody.— Wrócił i opowiedział rzecz całą dzieciom swoim.— Tak i wy postępujcie, mówił do nich, niech nigdy chciwość niewkrada się do serc waszych... To moja nagroda za wszelką bliźniemu przysługę: jeżeli i wy Ojca naśladować będziecie. Przyrzekły dziatki uroczyście, on je uściskał serdecznie; bo wiedział, że miłość bliźniego miła Bogu.

Dobre serce Kazia.

Kazio siedział przy oknie i patrzył, jak ulicą Długą szedł biédny żołnierz na kulach: Mamo, ja go zawołam, rzecze z przymileniem Kazio.— Kogo?— zapytała Matka.— Biédnego żołnierza.— Dobrze, ko-

chane dziécię. Otworzył Kazio okienko i zaprasza kalékę. Wybiegł naprzeciw niego na schody drzwi mu do pokoju otworzył i, wprowadził biédaka. Łzy w oczach obu jaśniały. Podał chłopczyna krzesło. Siadł żołnierz wygodnie, może raz piérwszy po swoich trudach wojennych. Zajął się Kazio najpiérwéj przyniesieniem posiłku; a kiedy się rozgrzał dobrém winem wojownik i pokrzepił siły zwątlałe, zaczął opowiadać swoje przygody.— Nigdy Kazio niebył tak uważnym, niczego niesłuchał tak pilnie. Ależbo było czego słuchać. I ja, rzecze ze łzami ów nędzarz, byłem takim jak ty paniczem i ja piękne nosiłem sukienki, w ciepłych mieszkałem pokojach. Wyrosłem na młodzieńca. Wybuchła wojna. Poszedłem walczyć; bo miałem siły i ochotę potemu. Zostałem kaléką. Wracam do domu: niezastaję nikogo. O Rodziców dopytać się niemogę.— Co-to za krzyżyk u ciebie na szyi, przerwał Kazio, i ja mam taki — a nigdym jeszcze podobnego niewidział. Siostra mi go moja Elżbiéta, śród łkania, na szyję włożyła, kiedym się na wojnę wybiérał, powiedział wojak. Klęczała przed Maryi obrazem i modliła się, żebym z wojny szczęśliwie powrócił, żeby mnie

jeszcze widziała. Ja żyję, krzyżyk się pozostał, niemam go komu pokazać. Zemdlała Matka, siostra wybiegła z pokoju. Była-to ta sama Elżbiétka, poznała lubego brata; ale on niemógł jéj poznać: bo się kobiéty znacznie z wiekiem odmieniają. Kazio dokończył wyjaśnień, wyjąwszy swój krzyżyk. Byłyto dwa zupełnie jednakowe rzadkiéj roboty dary od siostry braciom dane. Już niebyło wątpliwości że to ukochany brat powrócił, którego tylekroć opłakano. Wróciła do domu spokojność, oschły łzy biédnéj Matki, a to wszystko sprawiła litość i dobre serce Kazia.

Dworek pod laskiem.

W ładniuchnym dworku pod lasem, gdzie były zielone sztachety i zielone okiennice, mieszkali ludzie spokojni, łagodni, delikatni. Byłto dawny leśniczy, co się utrzymywał zkrwawo zarobionéj sumki którą oszczędnością pomnożył. Miał rządną żonę,, dobre dzieci, łaskę Boga, miłość pracy i myśl swobodną. Odwiedzał go dziedzic bliskiéj wioski poważający człowieka, co sam sobie wszystko był winien.

Dzieci tego dziedzica lubiły się bawić z dziećmi leśniczego; bo niemiały z nich złego przykładu, a wiele się nieraz od nich dobrego nauczyły. Dzieci dziedzica miały piękne sukienki, dzieci leśniczego chodziły w kapotkach z niebielonego płótna; ale każdy wolał się patrzyć na ich schludne sukienki, niż na poplamione suknie paniczów. Nauczcie wy nas, mówiły dzieci dziedzica, tak utrzymywać sukienki.— Nic łatwiejszego, odpowiedziały, bądźcie ostrożne, uważne, osłońcie się przy jedzeniu, nietarzajcie się po ziemi. Grzeczne dzieci posłuchały sąsiadów i wyglądały ładnie. Dzieci leśniczego były zgrabne i zwinne. Jak wiewiórki pięły się po drzewie, a co najbardziéj zadziwiało, że przytém niedarły sukienek.— Jak wy to robicie? spytały dzieci dziedzica.— Nic łatwiejszego, odpowiedziały dzieci leśniczego: uwaga, i ostrożność, ktoréj tylko przez wprawę nabydź można.— I wyuczyły bogate dzieci téj sztuki.

Kto prędzéj dobiegnie do tego dęba? zawołał starszy syn leśniczego.— Wszystkie puściły się cwałem; ale dzieci leśniczego były piérwsze.

Kto was tak biegać nauczył?—zapytały się dzieci dziedzica, dzieci leśniczego.— Sameśmy tego doszły,

odpowiedziały dzieci zapytane, codzień dalszą zamierzaliśmy sobie metę, codzień więcéj nabieraliśmy wprawy w bieganiu i dziś was wszystkich przebiegniemy. Człowiek sam siebie najlepiéj uczy.— A czy téż niemacie jakiego sposobu, spytały dzieci dziedzica, żeby się Mama i Tata na was niegniéwali?— O! mamy wyborny sposób: nic łatwiéjszego. Znamy i kochamy naszą Mamę i naszego Tatę, wiémy, co lubią, a czego nielubią. Niedamy sobie nic dwa razy mówić; a o co nas raz upomną, zapisujemy sobie w pamięci i już nigdy niezasługujemy na naganę. Cała sztuka, żeby sobie w sercu powiedzieć: nietrzeba Rodziców gniewać! Bóg niekocha takich dzieci, co martwią Rodziców. Człowiek wszystko zrobi z siebie, co zechce; ale musi chcieć prawdziwie i prosić Boga o pomoc. I dzieci dziedzica przyjęły do serca, naukę dzieci leśniczego.

Dobre lekarstwo.

Pani Starościna Morlicka przejeżdżała raz z synem swoim przez Wieniawy. W téj wiosce mieszkał znany jéj oddawna stary włościanin Wojciech

Piróg. Był-to starzec stoletni, siwy jak gołąbek. A poczciwy, grzeczny; bo po dworach sługiwał i napatrzył się dobrym i grzecznym ludziom. Już on sobie odpoczywał; bo miał przy kim odpocząć.

Wywiedziała się więc pani Starościna; że stary Wojciech żyje, zamierzyła go z synem odwidzić, raz że go lubiła, drugi raz żeby syn uczył się szanować sędziwych włościan. Przychodzi więc do niskiéj ale schludnéj chatki, wita poczciwego staruszka, przypominają sobie dawne czasy; gdyż ją Wojciech znał od dziecinnego wieku. Nareszcie rozmowa padła na syna Władysława. Jakże się panicz miéwa? zapytał.—Nienajlepiéj: biédny! nic mi jeść niechce, jakiś smutny, ociężały.—Jaśnie Pani pozwoli, że ja chłop z chłopów, chłopskie dam mu lekarstwo. Wszak Jaśnie Pani ma w domu stodoły? Młodzi, co zawsze siedzą w pałacu, w wygodach, lubią czasem odmianę. Panicz nami niepogardza, wiém, jak go Pani wychowujesz; niech mu Pani pozwoli wmieszać się między pracujących chłopków, niech weźmie w rękę cepy i popracuje trochę. Początkowo będzie mu trochę trudno; ale późniéj zasmakuje w téj pracy. Trafiło to do przekonania Starościny, użyła lekar-

stwa Wojciecha i w parę miesięcy przyjechała znowu do Wieniaw, do Wojciecha, na podziękowanie za dobre rady. Staruszek ujrzał z pociechą czérstwego młodziana; żwawo i wesoło z nim rozmawiał.

Doróżkarz.

Przy ulicy Chłodnéj mieszkał doróżkarz, który, jak wszyscy doróżkarze, o godzinie dziewiątéj wysyłał na miasto doróżkę. Jednego razu jakiś Pan chciał o godzinie siódméj wyjechać z domu; zamówił więc wcześnie doróżkę i przyrzekł więcéj zapłacić. Zacny doróżkarz wzdragał się wziąć większą zapłatę, szczęśliwy, że może uczynić dogodność, Pan jednak nieodstąpił od swego zamiaru i wyjechali. Odbyto krótką przejażdżkę — i doróżkarz odjechał na swoje stanowisko; ale że wyjechał wcześniéj, wtenczas, kiedy doróżek niebyło jeszcze do najęcia, doróżkarz zwijał się żwawo i w dwóch piérwszych godzinach więcéj zarobił, niż czasem przez całe przedpołudnie. Przybywa do swego Pana w zwykłym czasie południowym i dużo przynosi mu piéniędzy.—Ha! nic dziwnego, powiedział Pan, kto rano wstaje, to mu Pan Bóg daje.

I od tego czasu codziennie wyjeżdżał wcześniéj dorożkarz i niemógł się wydziwić, że sam niewpadł na tak prostą myśl: iż kto wcześniéj rozpoczyna pracę, to więcéj zarobi — że czas, to piéniądze, że praca, to błogosławieństwo boskie; że kto o dwie godziny późniéj zaczyna pracę, niżby mógł, ten sam siebie okrada.

BAJKI I POWIASTKI

WIÉRSZEM.

BALKI I POWIASTKI
WIERSZEM

Dzieci! bądźcie posłuszne.

Trzy złote rybki w sadzawce żyły
I w wielkich łaskach u Pana były,
Nieraz nad brzegiem siadał w pogodę
I okruszynki rzucał im w wodę,
O! rzecze, moje rybki kochane,
Przyjmcie przestrogi z serca wam dane:
Spokojnie sobie w sadzawce żyjcie,
Nigdy się, nigdy, na wiérzch nie wzbijcie.
Niech was ciekawość nieweźmie czasem.
Za tę się kratę wsunąć nawiasem:
Boć mi surowo, to przypłacicie:
Słuchajcie; jeśli miłe wam życie.—
Rybki w naradę: co to się znaczy,
Że nam pozwolić daléj nieraczy?
Cobyto, mówią: jemu szkodziło,
Żeby z nas które za kratą było?
Staw taki duży... tam lepiéj trocha;
To niepodobna, on nas niekocha.

On sam, gdzie zechce, to sobie chodzi,
A nam się z miejsca ruszyć niegodzi...
A nawet w górę wzbić się broń-boże!
Tak dłużéj bydź już niemoże:
Dziwny to człowiek, mój Boże!—
A jedna rybka rzekła w pokorze:
Oj on nas kocha z serca i duszy,
Nieraz nam, nieraz, bułeczkę kruszy
I tak się cieszy, jak ją zjadamy!
A my go słuchać niemamy?
Człowiek ma więcéj rozumu przecie,
A więc go słuchać pewnie zechcecie.—
Ja dobréj rady posłuchać wolę;
Trzymać się będę zawsze na dole.
Ja tu zostanę, jak chcecie, czyńcie,
Hulajcie sobie, gdzie chcecie, płyńcie.—
Jedna się nadto do góry wzbiła,
Wpadł ptak żarłoczny i już nieżyła.
Druga... o żal mi jéj los opiéwać!—
Chciała po stawie obszernym pływać.
Połknął ją szczupak, i już jéj niéma,
Trzecia się rady zbawiennéj trzyma.

I żyje sobie swobodna, boża,
I czuwa nad nią opieka boża,
I pan się cieszy z serca i duszy,
I dobréj rybce bułeczkę kruszy;
Bo posłuszeństwo w młodéj dziecinie,
Zródłem cnót wszystkich jedynie.

Jaskółki.

Za Wolskiemi rogatkami gromada jaskółek,
Chłopcy się im przyglądają jak idą do szkółek,
I gadają między sobą, sam to raz słyszałem.
Skąd się tam ten rozum bierze w takiém ciałku małém.
Czy ci tylko rozum mają, co chodzą do szkółki?—
Bóg łaskawy, dobrotliwy dał i dla jaskółki.

Wymówka.

Ja ci dwa ołówki dałem, ty niechcesz dać pióra;
Jak się Mama o tém dowié, zaraz będzie bura.—
A wymówkę jak usłyszy, czy jéj będzie miło?
Dać, a potém niewymawiać, toby grzeczniéj było.

Ptaszek i Chłopczyk.

Chłopczyk. Jak ty ślicznie śpiéwasz ptaszku?
Ptaszek. Ja to sam uważam.
A kochanku wiész dla czego? bo ciągle powtarzam;
Gdybyś ty mnie naśladował, byłaby pochwała:
Bo ochota i wytrwałość to niejest rzecz mała.

Waluś.

Siedział Waluś przy robocie a latała muszka.
Matka. Walciu! chętnie ty pracujesz? powiédz mi do uszka.
Waluś. chętnie: ale potém polatałbym sobie.
Miły po pracy spoczynek i dlatego robię.

ROZMOWY.

Rozmowa Karolka z Wacławkiem.

Karolek. Ha! witam Pana Wacława.
Czy dobrze idzie zabawa?
Wacławek. Tak, dobrze, dopóki zgoda.
Karolek. Jakaż do tego przeszkoda?
Wacławek. Różne bywają na świecie.
Wy się w piłkę bawić chcecie,
Mybyśmy w mruczka woleli;
A gdy się zdanie podzieli,
Gniewy, dąsy i niechęci.
Karolek. Niech się kto czasem poświęci.
Wacławek. Łatwo mówić, trudno czynić:
Nie każdego można winić;
Jeśli się czasem sprzeciwi.
Karolek. Nie wszyscy tacy szczęśliwi
Że się do drugich stósują.
Wacławek. A niech téż czasem spróbują:

Pan Bóg chęciom dopomaga.
Gdy dobre nad złém przemaga;
To radość Aniołów w niebie.—
Zacznij téż piérwéj od siebie.

Karolek. Zaczynam właśnie w téj chwili:
Niebędziemy się kłócili.

Rozmowa Anioła z Dziécięciem.

Anioł. Powiédz mi, dziecino miła:
Na co cię tu Pan Bóg zsyła?

Dziécię. Oto po to: by na łące
Zbierać kwiateczki pachnące;
By nad rzeczką, przy strumyku,
Zbierać kamyk po kamyku,
By nietracić jednéj chwilki:
Łapać ptaszki i motylki.

Anioł. Dziécię, Dziécię! zła to szkoła!
Bóg na ciebie z Nieba woła:
Niech sobie żyją motylki!
A ty nietrać jednéj chwilki:

Pobożnego szukaj słowa:
Znajdziesz? niech je serce chowa,
Niech tam rośnie z bożéj woli,
Jak pszeniczka bez kąkoli.

Rozmowa Henryczka z Józiem.

Józio. Mam groszy kilkanaście, wiész, co z niémi zrobię?
Oto! piernik kupię sobie.

Henryś. O! kochany braciszku! twe serduszko z lodu;
Dziś, kiedy ludzie umiérają z głodu,
Ty myślisz o pierniczku? niełaska brykały?
Dobrze, jeżeli nieba i chleba ci dały:
I ten łam z ubogimi, Bóg ci to odpłaci;
Pamiętaj o tém, Józiu, i w ludziach znaj braci.

Józio. Więc pierniczka niekupię.— Tak się spodziewałem.

Henryś. Gdybyś jeszcze, mój Józiu, był dziécięciem małém,
Każdyby ci przebaczył.

Józio. Przestań! bracie drogi.
Umiém cenić twe słowa, wiém, co to ubogi.
Jeszcze ja nieostatni, kiedy słucham ciebie;
Dajmy pokój piernikom, a myślmy o chlebie.

Rozmowa Władzia z Zygmuntkiem.

Władzio. Chodziłem dziś dzień cały i szukałem kwiatka;
Bo wiész, że bardzo lubi kwiatki moja Matka.

Zygmuś. Piękne upodobanie! Bóg kwiateczki stroi,
I jabym téż rad przynieść kwiatek Mamie mojéj.

Władzio. Wiész co? oto, Zygmusiu, śliczna mi myśl wpada:
Bliziutko śliczny ogród ogrodnik posiada,
Jego syna uczyłem pisać i rachować;
Czyliż on kilku kwiatków mógłby nam żałować?

Wybierze najpiękniejszych; bo ich tam ma wiele.

Zygmuś. Jabym go prosić nieśmiał.— To ja się ośmielę.

Władzio. Więc chodźmy. Myśl wyborna, myśl trafna, szczęśliwa.

Zygmuś. Że téżto zawsze dobre z dobrego wypływa.

IMIENINY.

KOMEDYJKA NA PRĘDCE.

OSOBY.

Józia.— Siostra Jasia.

Jaś.— Braciszek Józi.

IMIENINY, KOMEDYJKA NA PRĘDCE.

SCENA PIERWSZA.

Józia i Jaś.

Józia siedzi wsparta na rączce — i zamyślona.

Jaś (woła) Józiu! Józiu!— (Józia się niby ze snu przebudza) (do Jasia). Czego chcesz?

Jaś. Cóż ci-to, Józiu? co ty robisz?

Józia. Myślę.

Jaś. Myślisz? a o czém? o niebieskich migdałach?

Józia. Ale dziecko z ciebie. Ja myślę o czémś ważném, a tobie figle w głowie. Jasiu! ty sobie niežartuj, mówiłam ci oddawna: że się zbliżają imieniny kochanego Ojca, tyś sobie był na to spokojny, otóż i nadeszły. On tak dobry! on nas tak kocha! ja nauczyłam się wiérszyków; ale ty! ty nic nieumiész; a mnie to martwi.

Jaś. Ej! co tam wiérszyki. i ja téż umiem nie jednę bajeczkę wiérszami.

Józia. Bajeczkę? (namyśla się i mówi:) brawo! brawo! wyborna mi myśl przychodzi: powiész Tacie bajeczkę.

Jaś. Ej Tata się ich już niemało nasłuchał.

Józia. To téż nową, nową, zupełnie nową, mojego własnego układu.

Jaś. Co ty pleciesz? a bo ty umiész układać bajeczki?

Józia. No nieturbuj się o to, tylko żebyś się jéj dobrze nauczył.

Jaś. Kiedy już czas krótki.

Józia. Chcącemu niéma nic trudnego. (Józia siada i pisze naprędce niby myśli — udaje że jéj myśl niechce się uszykować, potém mówi: tak będzie lepiéj: potém niby przemazuje) nie, mówi, dawniéj lepiéj było... potém okazuje radość ze znalezionéj myśli, nareszcie kończy i oddaje karteczkę bratu: mówiąc: na! przepisz i naucz się zaraz; bo za kilka minut Tata nadejdzie... (chodzi ucieszona) i mówi: brawo! brawo! jakżem kontenta! jakto Tatę ucieszy! Ja taka mała; a już jestem kompozytorką — nic dziwnego: dziś i moje imieniny kochanego Taty — czuję jakieś natchnienie, o którém mi

Nauczyciel mówi: do wiérszy trzeba natchnienia. Ja jeszcze wiérszy niepotrafię pisać; ale prozą... o! prozą pisałam już nieraz o Salusi i Maryni, kukułce i makolągwie — o! ja umiem pisać... byle mi dobrze zatemperowano pióro.

Ha! ha! ha! jaka ze mnie autorka!

SCENA DRUGA.

Józia sama.

Ale to najpiękniéj, żem nią została w dniu tak uroczystym. Ciekawam, co téż nato powié Nauczyciel języka polskiego — o! on się ucieszy także; bo on lubi, kiedy która z uczennic na koncept się jaki zdobędzie.

SCENA TRZECIA.

Jaś i Józia.

Jaś. (wbiega z radością i woła) już umiem! już umiem!

Józia. A widzisz? mówiłam ci, że do wszystkiego tylko chęci dołożyć trzeba; bo najciężéj sobie powiedzieć: niepotrafię — to już wszystko skończone. Chodźmy. (Dzieci opuszczają scenę i zbliżają się do Ojca.

Józia. Ojcze kochany, dziś twe imieniny,
Serca Ci w darze przynoszą dzieciny,
Na jakie ich stanie, przyjm powinszowanie:
Ile rybek pływa, ile ptaszków lata,
Tyle pomyślności niech doznaje Tata;
A jeśli zamało — to zrobię dodatek:
Niech widzi poczciwe serca swoich dziatek.

do Jasia) A ty Jasiu co umiész?

Jaś. Bajeczkę.

Józia. Ha! ha! ha! bajeczkę — na imieniny bajeczkę? to osobliwa moda!

Jaś. (zaczyna niby płakać). (Józia). Niepłacz kochany Jasiu, Tata przyjmie i to; bo z dobrego serca! Tylko że te bajeczki...już ich się Tata nasłuchał! no, powiédz, co umiész.

Jaś. Było-to gniazdeczko, a w gniazdeczku ptaszki, te ptaszki miały bardzo dobrą Mamę i bardzo dobrego Tatę. Ci od ust sobie odejmowali, a przynosili małym ptaszynkom, a te łakomie dzióbki otwiérały i tak do nich piszczały serdecznie!

Ale te malutkie ptaszki podrosły, piérze ich okryło, wyrosły im skrzydełka. Mama i Tata nauczyli

ich latać wysoko, wysoko! ale jak raz polecialy..... tak się niepokazały więcéj.

Ale ptaszki, ptaszkami, a Jaś, Jasiem.— Jaś i Józia tego niezrobią, zawsze będą pamiętać: że Tata i Mama tak dla nich dobrzy; oni zawsze będą serdecznie kochali Mamę i Tatę, i będą Boga prosili: żeby Mama i Tata byli zdrowi i długo, długo żyli szczęśliwie.

RÓŻNE WIERSZYKI MORALNE.

Obecność boska.

Bóg patrzy z nieba;
Dobrym bydź trzeba.

Posłuszeństwo.

Słucha dziécię Ojca Matki?
Wzrośnie w sławę i dostatki.

Miłosierdzie.

Podeprzyj pieniek, co ratunku czeka:
Podźwignąłeś roślinę, podźwigniesz człowieka.

Przestawaj na małem.

Kto na małem przestaje,
Tomu więcéj Bóg daje.

Nieczyń nikomu przykrości.

Niedokuczy dusza tkliwa:
Zły to żarcik, który gniéwa.

Świadectwo serca.

Miło ci w sercu, gdyś wspomógł bliźnigo?
To już świadectwo serca poczciwego.

Przestroga przyjacielska.

Z każdym słodko, z każdym grzecznie!
A dokuczać niebezpiecznie.

Szkoda.

Stłukł ci kto szklankę, prawda, rzecz niemiła,
Powiédz: ej, co tam, szklanka szklanną była.

Rozwaga.

Nim co powiész, pomyśl trochę;
Bo wyleci słówko płoche.

Kto szczęśliwy?

Nie ten szczęśliwy, co ma złoto w worze;
Lecz kto go dobrze użyć chce i może.

Dobra rada.

Do pracy bierz się z ochotą,
A niestrudzisz się robotą.

Ostróżnie ze strzelbą!

Nierusz strzelby, nieprzymierzaj,
Psu i strzelbie niedowierzaj.

Przedsięwzięcie.

Będę dobrym, wielki Boże!
A kto zechce, to i może.

Niechlub się z dobrego czynu!

Gdy uczynisz co dobrego:
To się, dziécię, niechlub z tego.

Naucz się z drugiego!

Kiedy kotek burki bierze:
To się piesek złego strzeże.

Dawna rada.

Z dawiendawna powiadano:
Kładź się wcześnie, a wstań rano.

Baw się z grzecznemi!

Źle się bawią dzieci, to się niebaw z niemi:
Nazwą cię niegrzecznym, kiedyś z niegrzecznemi.

Ziarnko.

Z ziarnka kłosek, a chléb z kłoska:
Tak rozrządza mądrość boska.

Woda.

Woda czyści, karmi, poi,
Otwarta nam w źródłach stoi.

Czemu ciastka na drzewach nierosną?

Gdyby ciastka były zdrowe;
Toby rosły już gotowe.

Złe w dzieciach wcześnie wykorzeniać należy.

Jak się złe niewykorzeni,
To się wada w nałóg zmieni.

Śpiéwajcie, dzieci!

Wyśpiewujcie z serca, mali!
Bo piosenka Boga chwali.

Nauka prosta.

Widzisz co złego?
Sam nieczyń tego.

Pamiętaj o drugich.

Gdy jész dziécię co dobrego:
Pomyśl: biédny niema tego!

Niepsuj kwiatka!

Niepsuj kwiatka ze swawoli:
Kwiatek rośnie z bożéj woli.

Baczność w mowie.

Kto się brzydkich słówek strzeże,
Nad poprawą myśli szczerze.

Gdzie Aniołek?

Gdzie myśl czysta i pobożna:
Tam Aniołka zastać można.

Obecność Aniołka.

Pomagacie bliźnim radzi?
To Aniołek was prowadzi.

Bądź obrazem Aniołka!

Chcesz z Aniołkiém mieszkać razem?
To Aniołka bądź obrazem.

Ostróżnie ze słówkiem!

Ostróżnie, ostróżnie, nim słówko powiécie;
Bo jak się wysunie, to go niewrócicie.

Chleba powszedniego.

Codziennie mówisz: chleba powszedniego!
A niedodajesz, i ciastka do tego!

Nie wybrydzaj!

Starsi młodym zwykle radzą:
Niewybrydzaj, zjédz, co dadzą.

Kożuszki na śmietance.

Chce jeść dziecko? dać mu chleba;
Chce kożuszka? zburczyć trzeba;
Bo go wcześnie znarowicie:
Będzie pieścioch całe życie.

Niemęcz muszki!

Niemęcz muszki ze swawoli,
Niebij pieska; bo to boli.

Modlitwa.

Modlitwa serca potrzeba,
Z westchnieniem idzie do nieba.

Słodkie imię: Matka!

Słodkie imię Matka, przyznajcież to same.
Szczęśliwe to dziécię, co ma jeszcze Mamę.

BIBLIOTEKA NARODOWA
38598

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005049863